

Taniec z prezydentami

16 marca 2008

W 1982 r. w swojej mowie noblowskiej Gabriel García Márquez mówiąc o specyfice Ameryki łacińskiej przypomniał historię gen. Gabriela Garcíi Moreny, który w połowie XIX w. sprawował niczym monarcha absolutny przez 16 lat rządy dyktatorskie w Ekwadorze a po śmierci kazał ubrać swoje ciało w mundur galowy i posadzić się na fotelu prezydenckim. Od tamtej pory nad tym urzędem krąży chyba jakieś fatum i kolejni prezydenci w tym kraju spadają z fotela władzy jak pionki z szachownicy.

Od końca dyktatury wojskowej w 1979 r. Ekwador miał 13 prezydentów. Tylko w ciągu ostatnich 10 lat aż 7. Trzech z nich – Abdalá Bucaram w 1997, Jamil Mahuad w 2000 i Lucio Gutiérrez w 2005 – nie dokończyło swoich czteroletnich mandatów i upadło pod presją społecznego niezadowolenia. Ostatnim demokratycznie wybranym szefem państwa, który zakończył zgodnie z terminem swą czteroletnią kadencję był w 1996 Sixto Durán Ballén. Co kilka miesięcy często zmieniano całe gabinety. Być może nie jest to nic nadzwyczajnego na tle całej Ameryki łacińskiej gdzie w ciągu minionych 15 lat, co rok w jakimś kraju jeden z prezydentów był zmuszony do złożenia swojego urzędu – czy to w wyniku społecznej rebelii czy też pod ciężarem zarzutów o korupcję lub niejasne interesy. Ale co akurat dzieje się w Ekwadorze, że prezydenci padają jak muchy?

WYJĘCI SPOD PRAWA

Dwudziestego kwietnia 2005 r., po pięciu miesiącach politycznego kryzysu Lucio Gutiérrez, były pułkownik został obalony przez pokojową rewolucję „los forajidos”, „wyjętych spod prawa” jak określił ich sam prezydent, a ci –heterogeniczna grupa obywateli ze wszystkich nieomal klas społecznych – skwapliwie przejęli to imię podkreślając niczym Gandhi czy Thoreau, że to raczej honor być wyjętym spod

niesprawiedliwego prawa, które pozostawało martwe wobec nieefektywności, korupcji aparatu państwa i negatywnych skutków neoliberalnych reform. Każdy kolejny prezydent dochodził do władzy na fali haseł walki o losy biednych, a ostatecznie kończył rozkradając majątek publiczny, zaciskając pasa społeczeństwu zgodnie z neoliberalną wulgatą Konsensu Waszyngtońskiego i wpędzając Ekwador w jeszcze większą biedę i polaryzację. Gutiérrez zdołał utrzymać się na stanowisku tylko dwa lata i trzy miesiące.

Na jego miejsce obradujący poza blokowaną przez demonstrantów siedzibą kongres, powołał wice-prezydenta Alfredo Palacios, lekarza z wykształcenia, aby dokończył mandat Gutiérreza. Ten od razu zaczął przekonywać obywateli: „Ojczyzna jest poddawana intensywnej terapii; jestem jedyną nadzieją”. Ale forajidos odpowiedzieli mu, że jedyną nadzieją dla kraju, który w ciągu ostatniej dekady miał siedmiu prezydentów jest zjednoczone i aktywne społeczeństwo, a nie politycy. „Ekwador doświadcza całkowitego upadku wiarygodności systemu politycznego i klasy politycznej” – mówił mi prawie dwa lata temu José Astudillo katolicki działacz społeczny z regionu Cuenca, kiedy starałem się zrozumieć, co tak naprawdę działo się w tym kraju. „Teraz nie chodzi już tylko o to, kto jest, czy kto będzie następnym prezydentem, ale o prawdziwą zmianę w sferze polityki, która ma służyć rządzonemu, a nie rządzącym”.

ŚMIERĆ KLINICZNA SPOŁECZEŃSTWA

Społeczeństwo Ekwadoru charakteryzuje się ogromnymi nierównościami społecznymi i etnicznymi: połowę populacji stanowią zmarginalizowani Indianie i Afroekwadorczycy. 20% najbogatszej populacji konsumuje ponad 60% produktu narodowego, a najbiedniejsze 25% zaledwie 4%. Seria neoliberalnych reform rozpoczęta w 1982 polegająca głównie na ograniczeniach w wydatkach publicznych, pogłębiła te historyczne przepaści. Według danych Komisji Gospodarczej ds. Ameryki Łacińskiej i Karaibów przy ONZ, (CEPAL) w Ekwadorze 65% ludności żyje w biedzie, a problem bezrobocia (stałego czy

też czasowego) dotyczy 46% obywateli. Dwa z 13 milionów Ekwadorczyków z braku perspektyw zmuszonych zostało do emigracji zarobkowej – głównie do Hiszpanii. Ekwadorczycy obok imigrantów z Afryki zdominowali uliczny handel i zasiedlają opuszczone hiszpańskie wsie. Pieniądze wysyłane rodzinom w kraju są drugim po ropie naftowej źródłem wpływów gospodarki. Pomimo, że Ekwador jest jej piątym największym producentem w Ameryce Łacińskiej niewiele z tego korzystają zwykli obywatele. Dotychczas 70% petrodolarów płynęło bezpośrednio na obsługę długu zagranicznego, pozostałe 20% na „stabilizację wpływów” i tylko 10% na cele społeczne. Blokujący rozwój ekonomiczny i społeczny dług zagraniczny Ekwadoru wynosi 16,8 mld dolarów. Próba wydobycia kraju z zapaści poprzez dolaryzację gospodarki w 2000 r. i likwidacja sucre – waluty narodowej – miała skutek przeciwny i doprowadziła do ludowej rebelii.

Doktor Palacios powinien wobec tego raczej wziąć za swoją uwagę jednego z latynoamerykańskich socjologów, który w odniesieniu do sytuacji w regionie mówił: bieda niszczy pojedyncze życia; nierówności niszczą życie społeczeństwa. Oto prawdziwa diagnoza kondycji Ekwadoru.

KOLEJNA REBELIA

Chmury nad Gutiérrezem zbierały się już od dawna. Na dobre jednak zaczęło się w grudniu 2004 r., kiedy zmienił skład Sądu Najwyższego by następnie przychylni mu sędziowie oczyścili z zarzutów byłych prezydentów Abdalá Bucarama, Gustavo Noboę i wice-prezydenta Alberto Dahika. To z pomocą tych odrzuconych przez Ekwadorczyków, ale posiadających nadal wpływy i władzę de facto polityków, Gutiérrez zmierzał utrzymać swój urząd. Gorycz wobec jego polityki i niespełnionych obietnic, połączyła się z powszechnym sprzeciwem wobec bezkarności byłych prezydentów i wypchnęła ludzi na ulice.

W Quito i innych miastach od początku stycznia 2005 r. codziennie dochodziło do masowych manifestacji. Największa z

nich 19 kwietnia zgromadziła w stolicy około 200 tysięcy ludzi. Pochodzący głównie z klasy średniej los forajidos wśród dudnienia garnków, dźwięku klaksonów, skandowali „Lucio precz!, Wszyscy precz!” i domagali się nie tylko dymisji prezydenta, ale tak jak Argentyńczycy w obliczu katastrofalnego kryzysu ekonomicznego w 2001, „aby odeszli wszyscy politycy”. Demonstracje i brutalna represja policji, w wyniku której zginęły trzy osoby, postawiły wojsko pod ścianą. Jeśli poparłoby Gutiérreza, na ulicach polałoby się więcej krwi. Tego samego dnia rano zanim jeszcze pod naciskiem manifestantów Kongres odwołał go za „porzucenie swoich obowiązków”, jego los został przesądzony w wąskim kręgu najwyższych oficerów. Przedstawiono mu propozycję nie do odrzucenia: wojskowy samolot, który odtransportował go na wygnanie do Brazylii.

NIEDOTRZYMANE OBIETNICE

Lucio Gutiérrez, po tym jak w 2000 przyłączył się do indiańskiej rebelii przeciw Jamilowi Mahaudowi stał się ulubieńcem biednych. Wspierany przez część wojska zamach stanu się nie powiódł, Gutiérrez trafił do więzienia, ale w grudniu 2002, po trzech latach przewodzenia ludowej kampanii, z lewicowymi i nacjonalistycznymi hasłami na sztandarach, wygrał wybory prezydenckie. Do władzy wynieśli go jego dawni sojusznicy – Indianie. Jego prawą ręką stała się Pachakutik (Era odrodzenia w języku quechua), partia polityczna ad hoc utworzona przez największą organizację indiańską Konfederację Narodowości Indiańskich Ekwadoru (CONAIE). Działy się rzeczy bez precedensu: Nina Pacari, Indianka otavalo została ministrem spraw zagranicznych, a Indianin saraguro Luis Macas ministrem rolnictwa. W regionie rządziła albo wygrywała wówczas lewica: Hugo Chávez w Wenezueli, Luis Ignacio Lula da Silva w Brazylii. Wydawało się, że Gutiérrez będzie częścią tej regionalnej, lewicowej, boliwariańskiej alternatywy. Stopniowo jednak skręcał na prawo, by ostatecznie zdradzić tych, którzy go poparli. W miesiąc po objęciu urzędu

skapitulował przed Międzynarodowym Funduszem Walutowym. Zobowiązał się do „dyscypliny budżetowej”, zamrożenia płac do roku 2007 ograniczenia wydatków na cele społeczne i prywatyzacji całego państwowego sektora naftowego, wody, ubezpieczeń społecznych i uchwalił podwyżkę cen gazu o 375%. Związkowców, którzy się sprzeciwiali wsadził do więzienia.

Wszystko robił dokładnie odwrotnie niż obiecywał. Dawnych przyjaciół szybko zmienił we wrogów, a z wrogami zaczął się układać. Określił się jako „najlepszy przyjaciel USA”, poparł prezydenta Kolumbii Alvaro Uribe i zaangażowanie Ekwadoru w Plan Colombia (amerykański plan „pomocy wojskowej” dla tego kraju) i oprócz wykorzystywanej przez Amerykanów bazy wojskowej w Manta (największej i najważniejszej w całej Ameryce Łacińskiej) obiecał im także bazę na wyspach Galapagos oraz dziewicze złoża ropy w Amazonii. Luis Macas po odejściu z rządu oskarżył go o zdradę biednych. Ale jak mówił José Astudillo „Lucio nie był zdrajcą. Wina leżała po stronie partii politycznych i ruchów społecznych, które wykazały nadzwyczajną naiwność, sądząc, że on może być „lewicowy”. Gutiérrez od samego początku nie miał zamiaru spełnić składanych obietnic i grał tylko poparciem”.

TONĄCY BRZYTWY SIĘ CHWYTA

Mimo to Pachakutik i reszta lewicy przez długi czas go popierały. Zamknęły się w instytucjach i zajęły się powiększaniem liczby stanowisk w administracji. Gdy w końcu się od niego odwróciły oskarżając go o bycie „prawicowcem” i „sługusem USA i MFW”, Gutiérrez, bez problemu znalazł poparcie chrześcijańskich socjalistów z Partii Społeczno Chrześcijańskiej (PSC), a gdy i z tymi się poróżnił, zawarł sojusz z Abdalá Bucaramem i jego prawicową Roldosistowską Partią Ekwadoru (PRE) mającą poparcie we wpływowym kręgu w Guayaquil. To tak naprawdę tam, w tym portowym mieście, a nie w Quito, decydują się losy polityczne kraju. Odzwierciedlające historyczny dualny podział Ekwadoru przysłowie mówi: To czego nie da ci Quito, da ci Guayaquil i odwrotnie. Gutiérrez

wyniesiony do władzy przez masy indiańskie z wnętrza kraju i przy poparciu stołecznej lewicy, zaczął szukać pomocy na zdominowanym przez oligarchię wybrzeżu. We wrześniu 2004 spotkał się w Panamie z przebywającym na wygnaniu Bucaramem i w zamian za poparcie i pomoc przy utrzymaniu się przy władzy przyrzekł mu odwołanie ciężących na nim zarzutów i powrót do kraju. Bucaram nazywany „el loco” (szalony) obiecywał swego czasu „rządy ludu”, jednakże prędko po objęciu urzędu zajął się tylko napychaniem sobie kieszeni i w 1997 po 6 miesiącach rządów został obalony przez masowe rozruchy. Wracając w kwietniu 2005 do Ekwadoru „bardziej szalony niż kiedykolwiek” jak pisała prasa, bredził m.in., że „Jan Paweł II nie chciał umrzeć dopóki lider ludu ekwadorskiego nie powróci do ojczyzny”. Ten powrót jednak nie ocalił Gutiérreza. Przeciwnie. Był kroplą, która przelała czarę.

Został osamotniony. Ale do ostatniej chwili próbował udawać, że w Ekwadorze miał miejsce identyczny fenomen jak w Wenezueli, gdzie kraj jest podzielony na dwie równe części – przeciwników i zwolenników Hugo Cháveza, a linia tego podziału przebiega dokładnie na linii statusu społecznego. Bogaci są przeciwko i zrobią wszystko, aby wysadzić go z fotela, łącznie z zabiciem go, a biedni gotowi są bronić i umrzeć za swojego przywódcę. Zaczął manipulować Indianami przeciwstawiając CONAIE inną organizację Federację Indian Ewangelików (FEINE). Sprowadził do stolicy tysiące jej członków w roli kontr-manifestantów. Jeszcze w czerwcu 2005, gdy opuścił Brazylię i schronił się w USA w wywiadzie dla CNN mówił, że obaliła go wstrętna oligarchia i zapowiadał, że jak tylko wróci, – bo przecież tego właśnie chcą tęskniący za nim Ekwadorczycy – to w końcu zaprowadzi upragniony porządek. Taki wizerunek bardzo był mu na rękę, tylko, że nie miał nic wspólnego z prawdą. W rzeczywistości było jeszcze gorzej.

OPOZYCJA: KAŻDY Z KAŻDYM

Zgodnie ze swoimi interesami Gutiérreza atakowała jednocześnie i prawicowa oligarchia i lewica. I bogaci i biedni. Część

przedsiębiorców z wybrzeża skupionych wokół burmistrza Guayaquil Jaime Nebota i jego PSC oskarżała go o korupcję i o to że nie potrafi zapewnić wzrostu gospodarczego. Lewica z interioru oskarżała go w zasadzie o to samo, ale dodawała, że nie jest on w stanie rozwiązać problemu biedy i bezrobocia, że rozkrada fundusze na cele społeczne i żądała odzyskania pieniędzy publicznych poukrywanych w Panamie czy w Miami. Wszyscy przedstawiali się jako obrońcy demokracji, prawa i porządku i ostrzegali przed powrotem dyktatury. „I cała opozycja miała rację. Tylko, że wszyscy walczyli ze wszystkimi i każdy chciał obalić Gutiérreza na własną rękę. Potrzeba było trzeciej drogi wyjścia z sytuacji – mówił Astudillo. W tym właśnie chaosie los forajidos – zwykli obywatele, którzy postawili się poza sceną polityczną – pojawili się jako trzeci aktor. Nie walczyli o władzę, ale o reformy. Powstali z ignorancji lewicy i przeciw interesom oligarchii. Oraz w pustce, jaką pozostawili podzieleni politycznie i sparaliżowani Indianie po tym, jak za każdym razem partie polityczne wspinały się po ich plecach do władzy. „Cała klasa polityczna Ekwadoru zabrnęła w ślepy zaułek, pogubiła się walce o swoje własne interesy i zdyskredytowała się ostatecznie w oczach obywateli. Wszyscy okazali się tacy sami. Ani siły polityczne z lewej, z prawej czy centrum strony politycznej nie potrafiły opracować i wprowadzić w życie długofalowego planu politycznego dla pogrążonego w biedzie i kryzysie państwa.” – mówił Astudillo.

FALA ODDOLNYCH INICJATYW...

Los forajidos od początku nie chcieli rozmawiać o stanowiskach w nowym gabinecie, lecz o ogólnonarodowym planie naprawy. Według nich prawdziwych reform dokonać można jedynie przy udziale wszystkich części społeczeństwa, a strukturalny kryzys, w jakim tkwi Ekwador wymaga zjednoczenia wysiłków wszystkich obywateli. Domagali się od nowego prezydenta przeprowadzenia powszechnego referendum w sprawie zwołania zgromadzenia konstytucyjnego i uchwalenia nowej konstytucji

„Żyjemy w epoce totalnego zmęczenia partiami politycznymi, ludzie chcą zacząć od początku budując władzę od dołu, nie od góry. Kwietniowa rebelia w Quito wyrwała ludzi z apatii, przez cały kraj przelała się ogromna kreatywna fala zmiany. Jak grzyby po deszczu powstawały komitety w dzielnicach, prowincjach opracowujące pytania do referendum i legislacyjne inicjatywy wychodzące „od ludu” – mówił José. Utworzone w trakcie manifestacji Suwerenne Zgromadzenie Ludowe ogłosiło 23 punktowy natychmiastowy plan minimum, w którym wezwało m.in. do zerwania negocjacji traktatu o wolnym handlu ze Stanami Zjednoczonymi, (który Ekwador negocjował równolegle wraz z Peru i Kolumbią), renegocjacji długu zagranicznego, wycofania się z dolaryzacji gospodarki i przeznaczenia wpływów z ropy na cele społeczne, odcięcie się od Planu Colombia i zamknięcia bazy w Manta. W cyrkulujących po ulicach miast ulotkach los forajidos wzywali do obrony suwerenności i przeciwstawienia się zagranicznym interwencjom, nadzorowania działań nowego gabinetu i wymuszenia wypełnienia złożonych obietnic. Zamiast spłaty długu zagranicznego, żądali spłaty „długu społecznego”.

...I FESTIWAL ODGÓRNYCH OBIETNIC

W odpowiedzi na te żądania tymczasowy prezydent zaoferował cały wachlarz obietnic: „głęboką reformę państwa”, „rekonstrukcję demokracji i Republiki”, postawienie przed sądem winnych kryzysu. Usłyszał jednak od forajidos, że winna długoletniej zapaści jest cała klasa polityczna i wobec tego należy rozwiązać kongres, partie polityczne i „rozpocząć od zera”. Palacios tymczasem odpowiedział, że sam nie jest związany z żadną partią, że nie będzie rządził według interesów partyjnych a kongresu nie rozwiąże. Zgodził się, że zmiany powinny zacząć się od zasypywania przepaści społecznej i obiecał skierować strumień pieniędzy z ropy naftowej na politykę społeczną.

Ale, podczas gdy forajidos prowadzili ciągły ogień krytyki przeciwko traktatowi o wolnym handlu, Planowi Colombia, obecności i nietykalności amerykańskich żołnierzy, czy

dolaryzacji, Palacios poinformował mimochodem, że baza w Manta zostaje. Mimo, że obiecał zwołać referendum w sprawie umowy o wolnym handlu, zignorował pozostałe żądania obywateli. „Ruchy polityczne nowego gabinetu to taki taniec „dwa kroki w przód, jeden w tył”. Okazuje się, że w Ekwadorze łatwo jest zmienić prezydenta, trudniej zmienić rzeczywistość. Ze starą klasą polityczną margines zmian jest ograniczony. Może rzeczywiście „wszyscy powinni odejść?” – pytał retorycznie mój rozmówca. „Ale mimo, że obecna sytuacja jest niestabilna, jest jednocześnie pełna potencjalnych możliwości i może być dobrym początkiem” – dodawał z nadzieją w kwietniu 2005 r.

KONIEC I NOWY POCZĄTEK...

Dobry początek wróżyło to, że Ekwadorczycy w obliczu kryzysu nie wycofali się z polityki do sfery prywatnej, ale aktywnie stanęli w obronie demokracji. Ale demokracji rozumianej nie jako zbiór procedur i utożsamionej z instytucjami, ale „oddolnej” prawdziwej, egalitarnej gdzie wszyscy obywatele i wszystkie klasy społeczne bezpośrednio siebie reprezentują. Pozytywne było także to, że tym razem, w miejsce najbiedniejszych, to klasa średnia zbuntowała się wobec „złego rządu” i nie chciała jedynie „chleba”, ale reform.

„Ruchowi „forajidos” daleko jest od homogeniczności. Tworzą go luźne organizacje i związki, które połączył sprzeciw wobec klasy politycznej. Nie mniej jednak w jego łonie rodzą się nowe interesujące propozycje i dzieją się ciekawe rzeczy. Dajmy im trochę czasu” – podkreślał Astudillo. Obywatele wobec kryzysu „na górze” organizując się w lokalnych wspólnotach, zaczęli ściągać poziom władzy „na dół”. Ożywili instytucje lokalnej demokracji. Politycy dowiedzieli się, że teraz będzie się uważniej patrzeć im na ręce. Cały czas czuli na plecach oddech ludzi, którzy niechętnie schodzili z ulic, a jeśli to czynili, podkreślali, że prędko na nie wrócą. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że zwycięstwo rebelii „wyjętych spod prawa”, nie okaże się zwycięstwem pyrrusowym, tak jak zwycięstwa poprzednich rebelii i że nie zmarnuje się ten

olbrzymi kapitał społeczny.

...CZY TYLKO NOWY POCZĄTEK KOŃCA?

Ale po kilku miesiącach efemeryczni forajidos zniknęli w odmętach historii równie szybko jak się w niej pojawili. Sytuacja się „ustabilizowała”, tzn. powrócił chaos i fragmentaryzacja sceny politycznej. „Tradycyjne” partie polityczne wyszły z cienia i razem z oligarchią odbudowały się po kryzysie, w jakim się znalazły. W październiku 2005 do kraju wrócił Gutiérrez – jak twierdził, żeby oczyścić swoje dobre imię – i od razu zaczął szykować się do startu w zaplanowanych za rok wyborach prezydenckich, ale ostatecznie zakazał mu tego sąd. Kandydować ponownie chciał też Bucaram, który odgrażał się, że „zmiemie wszystko”, a jego przeciwnicy „będą go jeszcze o to prosić”. Wszyscy jednak zignorowali te jego kolejne szaleństwa.

Tymczasem rząd Palaciososa funkcjonował od kryzysu do kryzysu. Blokował jak mógł zwołanie zgromadzenia konstytucyjnego i kluczył, by w końcu marca 2006 znaleźć się w prawdziwych opałach. Ludzie po roku – zmobilizowani przez budzące się po okresie letargu organizacje indiańskie – znów wyszli na ulice. Przez Ekwador przetoczyły się wielotysięczne manifestacje. Katalizatorem nowej rebelii był sprzeciw wobec Occidental Petroleum (OXY) amerykańskiego koncernu naftowego, który przekazując bez konsultacji prawa na wydobycie w Ekwadorze kanadyjskiej firmie złamał postanowienia zawarte w kontrakcie z państwem. Przyparty do muru rząd ogłosił jego wygaśnięcie i przejął instalacje OXY. Czarne chmury zebrały się także nad brazylijskim Petrobrasem, który w Ekwadorze poczynił sobie równie nieodpowiedzialnie.

Demonstracje nie tylko zakończyły się sukcesem, ale były okazją do przypomnienia wcześniejszych postulatów. Zwiastowały też powrót Indian do polityki. Zapytałem niedawno Víctora Morocho, Indianina saraguro z Narodowej Konfederacji Organizacji Chłopskich, Indiańskich i Afroekwadorskich

(FENOCIN) o powody ówczesnego kryzysu organizacji indiańskich: „Kryzys organizacji? Należy to doprecyzować. W Ekwadorze istnieją trzy wielkie organizacje indiańskie: CONAIE, FEINE i FENOCIN. Można mówić o kryzysie tej pierwszej jako konsekwencji wejścia do rządu Gutiérreza. Moglibyśmy mówić o kryzysie tej drugiej jako konsekwencji manipulacji, na jakie pozwoliła byłemu prezydentowi. Ale FENOCIN nigdy nie dała się manipulować i mimo, że jest o wiele mniejsza to właśnie ona przewodziła rebelii przeciw OXY, podczas gdy CONAIE dopiero się reorganizowała”.

Ale najważniejsze miało dopiero nadejść. W dzień po anulowaniu kontraktu z OXY ruchy społeczne dostały prezent, jakiego się nie spodziewały: Waszyngton jednostronnie zerwał dwuletnie rokowania w sprawie traktatu o wolnym handlu. To był najlepszy dowód na to, że podobne traktaty z natury faworyzują interesy wielkich korporacji transnarodowych ponad interesy obywateli. Gdy te pierwsze znalazły się w zagrożeniu, strona amerykańska, ku uciesze Ekwadorczyków sama wycofała się rozmów. Joseph Stiglitz, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii, były główny ekonomista Banku Światowego od początku zresztą odradzał Ekwadorowi podpisywanie tego traktatu, z aprobatą patrząc na plany nacjonalizacyjne. O traktacie, który Kolumbia w listopadzie 2006 podpisała z USA powiedział, że nie jest ani sprawiedliwy, ani wolny.

POCZĄTEK EPOKI ZMIAN...

Rok 2006 w Ameryce Łacińskiej był rokiem wyborów. W ciągu 12 miesięcy odbyło się ich aż 10. Te w Ekwadorze (prezydenckie i parlamentarne) zaplanowane na 15 października były z różnych względów wyjątkowe. Po burzliwym okresie dosłownie ważyły się losy całego dotychczasowego porządku konstytucyjnego. Po serii wielomiesięcznych kryzysów, walk i manifestacji panowało powszechne przekonanie, że nad starym systemem należy postawić kropkę i zacząć od nowego wiersza. Według agencji badania opinii publicznej Latinobarómetro tylko 4% Ekwadorczyków potwierdzało swoje zaufanie do partii politycznych. Obok

Boliwijczyków najwięcej z nich na kontynencie zapewniało, że wierzy w demokrację bez partii politycznych i kongresu.

Do drugiej tury wyborów prezydenckich weszli Rafael Correa, były doradca Palaciososa a potem przez kilka miesięcy minister finansów w jego rządzie, lewicowy chrześcijański humanista (jak sam o sobie mówi) sympatyzujący z resztą lewicy na kontynencie, oraz po raz trzeci ubiegający się o to stanowisko Alvaro Noboa bananowy magnat (Ekwador jest pierwszym w świecie producentem bananów) wspierany przez własną, konserwatywną Odnowicielską Partię Instytucjonalną Akcja Narodowa (PRIAN), prawicę i oligarchię. Część ruchów społecznych wzywała jednak do nie skreślenia żadnego z kandydatów, lecz oddawania głosu z adnotacją „zgromadzenie konstytucyjne”, bądź też pójścia do wyborów, ale z hasłem „wszyscy przeciwko Noboi, uwaga na Corree”. Podobnie jak w innych krajach regionu część mediów tak ustawiła dyskusję, aby zastanawiano się czy głos oddany na Corree to głos oddany na Cháveza, głównego boogie-mana kontynentu, straszniejszego nawet od Castro. Prawdziwe problemy Ekwadoru odsunięto na bok.

Według Correi, 44 letniego profesora ekonomii z odbytymi studiami w Belgii i amerykańskim doktoratem w kieszeni największym nieszczęściem Ekwadoru jest partiokracja. Dlatego Alianza País, ruch, który go popierał nie wystawił kandydatów do kongresu, a on podstawą swojego programu uczynił dawne żądanie forajidos: rozwiązanie parlamentu, zwołanie zgromadzenia konstytucyjnego i rozpoczęcie „radykalnego procesu przemian”.

Noboa też miał projekt reform, ale jak mówili przeciwnicy esencją jego pomysłu na Ekwador, było rozszerzenie „bananowej republiki” na cały kraj. Mimo, że organizacje obrony praw człowieka oraz m.in UNICEF zarzucają mu wyzyskiwanie dzieci na swoich plantacjach, na czas kampanii połknął język wrażliwości społecznej. Jeździł po kraju karetkami „Służba Medyczna Noboa” i obiecywał, że jeżeli tylko na niego zagłosujesz podobny ambulans będzie zawsze na twoje żądanie. Correa z kolei

proponował rozwiązania systemowe. Pozbawiony strukturalnego poparcia, – oprócz organizacji indiańskich, które tym razem jednak zastrzegły, że nie chcą stanowisk, gdyż jak mówił jeden z przywódców CONAIE „nigdy nie byliśmy tak słabi jak wtedy, gdy weszliśmy do rządu”, oraz części jak zwykle podzielonej lewicy – zdołał przekonać do siebie osoby związane głównie z ruchami kobiecymi, chłopskimi, ekologicznymi, dzielnicowymi, itd., które określały się jako bezpartyjne i w listopadzie w drugiej turze wygrał z przewagą 13% głosów.

...CZY PRAWDZIWA ZMIANA EPOKI?

W trakcie ceremonii objęcia władzy w styczniu 2007 Correa podkreślił, że początek jego mandatu „to nie epoka zmian, ale zmiana epoki” i zapowiedział walkę o „rewolucję obywatelską polegającą na radykalnej, głębokiej i szybkiej zmianie istniejącego systemu politycznego, ekonomicznego i społecznego, perwersyjnego systemu, który zniszczył naszą demokrację, gospodarkę i społeczeństwo”.

Obiecał, że jego rząd wyprowadzi Ekwador z „neoliberalnej nocy”, „wyrzuci neoliberalizm do kosza” i rozpocznie przebudowę gospodarki. Co prawda upadki kolejnych prezydentów i przesilenia społeczne, nie były efektem żadnych kryzysów ekonomicznych, ale postępującej degrengolady klasy politycznej, sytuacja ekonomiczna jest katastrofalna. Gospodarkę utrzymują na powierzchni tylko stale wysokie ceny ropy (w 2006 wpływy z niej osiągnęły ponad 2,9 mld dolarów) oraz pieniądze przysyłane przez emigrantów (również ponad 2,9 mld). Chociaż Correa jest przeciwnikiem dolaryzacji, zapowiedział, że póki, co jej nie zniesie. Ma ona jednak słaby punkt: jeśli ceny ropy spadną lub też spadnie poziom przysyłanych pieniędzy system będzie nie do utrzymania. Restrukturyzacja ma temu zapobiec. Nowy prezydent chce m.in. pogłębić integrację ze Wspólnotą Andyjską i Unią Europejską – które, jak mówił w przeciwieństwie do USA nie oferują jedynie „frajerskiego otwarcia się” (w aluzji do amerykańskiej oferty, zgodnie z którą Waszyngton pozostawia swoje subsydia i cła a

Ekwador je znosi), ale prawdziwą współpracę oraz przystąpić do przewodzonej przez Wenezuelę i Kubę Boliwariańskiej Alternatywy dla Ameryki Łacińskiej (ALBA), regionalnego bloku współpracy polityczno-gospodarczej stanowiącego próbę odamerykanizowania kwestii rozwoju państw regionu.

Zaczął także mówić o możliwym powrocie Ekwadoru do OPEC, (z którego ten wystąpił w 1992) i zapowiedział renegocjację wszystkich kontraktów z zagranicznymi firmami naftowymi: – „Nie możemy pozwolić żeby z każdych 5 baryłek zabierały 4 i zostawiały nam jedną”, mówił. W kilka miesięcy później zdecydował, że 99% „dodatkowych” zysków z wydobywania ropy będzie trafiać do kasy państwa, co oznacza zasilenie jej sumą ok. 840 mln dolarów rocznie. Odrzucił uczestnictwo w Planie Colombia (przemianowanym w międzyczasie na Plan Patriota) oraz amerykańską pomoc w „walce z narkotykami”, lecz przyznał rację Palaciosowi: baza w Manta zostaje do 2009, gdyż kontrakt wynajmu jest nie do ruszenia, – ale od razu zapewnił, że w żadnym wypadku nie zostanie on przedłużony. Choć jeśli Waszyngtonowi będzie na niej bardzo zależało to wystarczy, że odda Ekwadorowi na przykład bazę w Miami.

Posunięcia te przyjęto, – jak mówi Víctor Morocho – z wielką nadzieją: „W Ekwadorze wieje wiatr zmiany. Dla FENOCIN rząd Correi jest rządem nadziei, rządem przejściowym, który może nie gwarantuje sam w sobie zmiany, ale jest drogą w dobrym kierunku. Nie do końca jest rządem prawdziwie lewicowym, ale jego pierwsze decyzje – jak np. przekazanie wpływów z ropy dla ludu czy też anulowanie długu zagranicznego, są zdecydowanie pozytywne”.

ŚMIERTELNA SPIRALA

Najbardziej palącą była właśnie kwestia zadłużenia zagranicznego, które zresztą dusi nie tylko Ekwador, ale całą Amerykę Łacińską. Kontynent za każdego pożyczonego dolara oddał już osiem i nadal winny jest cztery. Niemiecki historyk gospodarczy André Gunder Frank, jeden z twórców teorii

zależności opisywał ten problem prozaicznie: „(...) obecna zależność (krajów biednych od bogatych) nie jest w stanie rozwiązać dwóch podstawowych problemów Trzeciego Świata: rozwoju ekonomicznego (a ściślej jego braku) i zadłużenia. Jeśli zapłacisz dług, będziesz miał mniej środków, aby stymulować rozwój i zostaniesz skazany jedynie na wegetację. Jeśli przeznaczysz je na stymulowanie wzrostu nie będziesz miał czym spłacić długu. Latynoamerykańska burżuazja i rządy wybrały tę pierwszą możliwość”. Correa wybrał drugą.

Zaledwie w kilka miesięcy udało mu się zlikwidować historyczną zależność i odwrócić rubryki w budżecie. Na początku 2007 Ekwador przeznaczał na obsługę długu 38% swych wydatków. Nie tylko zaplanowano, że do 2010 procent ten spadnie do 11, ale jednocześnie zwiększono wydatki na cele społeczne z 12% do 38%. Początkowo Correa chciał pracować nad utworzeniem Międzynarodowego Trybunału Arbitrażowego d/s Anulowania Długu, który pomógłby wyjść Ekwadorowi ze śmiertelnej spirali zadłużenia, ale w końcu poszedł o wiele dalej anulując jednostronnie – na początek – wynoszący 22,6 mln. dolarów dług kraju z MFW o którym jak mówił „nie chcemy już więcej słyszeć”. Co do reszty „niesprawiedliwego długu zagranicznego” w postaci międzynarodowych kredytów zaciągniętych przez skorumpowanych funkcjonariuszy państwowych, bądź też przejętych przez państwo zobowiązań prywatnych kapitalistów Correa zapowiedział moratorium.

Odwołał także przedstawiciela BŚ w Ekwadorze, który – gdy obecny prezydent był ministrem finansów – szantażował kraj wstrzymaniem uzgodnionej już pożyczki w wysokości 100 mln. dolarów, aby rząd wycofał się z planów przekierowania wpływów z ropy ze spłaty długu na cele społeczne.

Rozmawiałem kiedyś z Prof. Johanem Galtungiem, norweskim politologiem, jednym z założycieli „studiów nad pokojem” i mediatorem w ponad 40 konfliktach na całym świecie, który mówił mi o autobiografii pewnego skruszonego amerykańskiego urzędnika wysokiego szczebla, zajmującego się profesjonalnie w

imieniu Waszyngtonu wymuszaniem zaciągania pożyczek przez kraje Trzeciego Świata, zarówno u organizacji międzynarodowych, jak i wierzycieli prywatnych. „Ja wiedziałem, że istnieje taka praktyka, – mówił Galtung – ale że istnieje taki zawód: „wymuszacz zadłużenia zagranicznego”?!” Ten urzędnik nazywał się John Perkins a książka Wyznania ekonomicznego gangstera. Tak się składa, że jedną z ofiar Perkinsa był też Ekwador. W swych wspomnieniach opisuje on szczegółowo, w jaki sposób używając gróźb i przekupstwa zadłużono po uszy ten andyjski kraj czy też „dbano” o interesy firm naftowych.

KONSTYTUANTA

Jednak główny projekt Correi, na którego szali położył cały swój kapitał ma charakter polityczny: zwołanie zgromadzenia konstytucyjnego, uchwalenie nowej ustawy zasadniczej i rekonstrukcję całego państwa. Gdy tylko objął władzę zrealizował jedno z podstawowych żądań forajidos: w kwietniu zwołał referendum w którym zadano Ekwadorczykowi tylko jedno pytanie: Czy jesteś za zwołaniem zgromadzenia konstytucyjnego z pełnią władzy, która zmieni ramy instytucjonalne państwa i opracuje nową Konstytucję? Aż 82% głosujących odpowiedziało tak.

We wrześniowych wyborach do zgromadzenia, które podobnie jak referendum okazały się wielkim zwycięstwem urzędującego prezydenta wybrano 130 jego członków (6 spośród wspólnot emigrantów ze świata). Alianza País zdobyła w nim większość wprowadzając 80 przedstawicieli. Oprócz niej do zgromadzenia weszli kandydaci PRIAN, PSC oraz Partii Stowarzyszenie Patriotyczne (PSP) Lucio Gutiérreza. Rozpoczęło ono pracę w końcu listopada – co oznaczało jednoczesne rozwiązanie zdominowanego przez opozycję kongresu – i ma na nią 180 dni (z możliwością przedłużenia o 60 następnych).

Ekwador od uzyskania niepodległości w roku 1830 miał aż 18 konstytucji. Ostatnie zgromadzenie, które obradowało w 1997,

przyjęło nową ustawę zasadniczą, ale wszystko pozostało po starym zgodnie ze znaną formułą Lampedusy, trzeba zmienić wszystko, aby nic się nie zmieniło. Choć obowiązująca konstytucja była uważana przez niektórych za niezwykle postępową, jeśli chodzi o ochronę środowiska, prawa kobiet, dzieci, Indian czy też wspólnot afroekwadorskich, naszkicowany w niej projekt państwa był wątki a instytucje słabe, przez co pozbawiona realnej kontroli klasa polityczna tonęła w skandalicznym morzu korupcji. Nie było też komu egzekwować zapisanych tam praw. Na przykład (wywalczone zresztą na ulicach) wejście Indian do życia politycznego w latach 90. było z pewnością jedną z oznak demokratyzacji, ale ideologia multikulturalizmu w ramach, której przyszło im funkcjonować kształtująca w praktyce „dobrego innego”, nieszkodliwego dla neoliberalnych założeń (niech Indianie nie mieszają się do gospodarki bo wszystko zepsują!) ograniczała ich prawa do autonomii.

„Konstytucja z 1998 uśpiła nas, ludy indiańskie. Zasłoniła nam oczy „prawami kolektywnymi”, które nie miały żadnych realnych konsekwencji prawnych, – podkreśla Víctor Morocho. – Już paradoksalnie poprzednia, konstytucja z roku 1979 była bardziej zaawansowana z naszego punktu widzenia, gdyż w niej była mowa o ziemi. Ta z 1998 mówi o prawach kolektywnych – nic o ziemi, – ale o prawach, co do których nie było woli w kongresie, żeby przełożyć je na konkretne ustawy. Wszystko pozostało tylko na papierze. A więc czy zasadne jest mówić o niej jako o najbardziej postępowej na kontynencie? Nie. Z punktu widzenia ludów indiańskich de facto oznaczała ona regres”. Oprócz trzech najważniejszych tematów, jakimi powinno zająć się zgromadzenie takich jak edukacja (Correa wprowadził już dekretem do szkół język quechua), „rewolucja agrarna”, prawa kolektywne ze wszelkimi konsekwencjami (np. uznanie wspólnotowego wymiaru sprawiedliwości), Morocho dodaje, że tak jak w Boliwii (gdzie niedawno przyjęto nową konstytucję będącą również efektem prac zgromadzenia konstytucyjnego) winno ono rozpocząć przebudowę modelu narodowego na bazie

„interkulturowości” odrzucając ostatecznie fałszywą ideologię multikulturalizmu.

Reforma konstytucyjna ma zagwarantować ponadto redystrybucję bogactwa, większą sprawiedliwość społeczną, obronę suwerenności oraz wreszcie ocalić Ekwador od partiokracji: wzmocnić pozycję prezydenta i zmniejszyć rolę parlamentu, tak, aby nie groziło zajmującym to stanowisko to co poprzednikom: upadek z fotela pod interesami i kapryсами klasy politycznej. Ale zamiast naśladować Cháveza, który próbował (na razie bezskutecznie) wprowadzić zmiany w konstytucji i zagwarantować sobie nieprzerwane rządy, Correa woli pójść śladami Evo Moralesa i odpowiada się raczej za „wariantem boliwijskim”. W nowej ustawie zasadniczej wprowadzono tam nie tylko zakaz reelekcji, ale także możliwość odwołania prezydenta ze stanowiska.

ZJEDNOCZENI W PROCESIE

Tariq Ali, pakistański intelektualista mieszkający w Londynie, redaktor New Left Review w swej ostatniej książce Piraci z Karaibów. Oś nadziei, w której opisuje transformacyjne procesy polityczne w Ameryce łacińskiej wymienia Correeę jednym tchem obok Castro, Cháveza i Moralesa widząc w ekwadorskiej zmianie epoki rewolucyjny proces zainspirowany – podobnie jak inne wymienione – słynną Pierwszą Deklaracją Hawańską, w której Castro bronił m.in. suwerenności Kuby i Ameryki łacińskiej przed polityką Waszyngtonu.

W tym sensie i z całą odpowiedzialnością to dopiero jego można więc uznać za boliwarianistę. W swej polityce Correa nie tylko ma na uwadze starą przepowiednię Simóna Bolívara, który prawie dwa wieki temu ostrzegał, że Stany Zjednoczone zdają się być skazane przez Opatrzność na ściąganie na Amerykę nędzy w imię wolności, ale mówiąc już sam: „Rozumiem, że USA mają swoje interesy, ale niedopuszczalnym jest, aby ktoś w rządzie Ekwadoru bronił właśnie ich a nie interesów swojego kraju” nowy prezydent zapowiada istotną zmianę, na którą Ekwador

czeka od dawna.

Zapytałem ostatnio José Astudillo – po okresie przerwy, – co sądzi o Correi i obecnej sytuacji: „On sam jest nieważny, albo ważny tylko w tym sensie, że jest bezpośrednim produktem ruchu społecznego i późną materializacją rewolty forajidos. Może być kulminacją pewnego procesu, nielinearnego, przerywanego, którego osiągnięcia z pozoru się rozmywały, a który zaczął się wraz z pierwszą rebelią indiańską, w 1990, którego celem jest prawdziwa refundacja państwa i który jest poszukiwaniem „nowego sposobu uprawiania polityki”, poza tradycyjną klasą polityczną, poza neoliberalizmem.”

Kadencja obecnego prezydenta kończy się w 2011. Jeśli dotrwa będzie pierwszą głową państwa od 11 lat, która nie ulegnie defenestracji. Jest to całkiem możliwe, – poparcie dla niego oscylowało nawet w granicach 80% – ale tylko pod warunkiem, że spełni złożone obietnice, doprowadzi do końca rozpoczęty proces i że nie wydarzy się nic niespodziewanego.

Gdy w 1981 r. spadł śmigłowiec z prezydentem Jaime Roldósem mówiono: pech. Tylko, że Roldós, – pierwszy po rządach wojskowych demokratycznie wybrany prezydent i pierwszy któremu udało się rozbudzić w Ekwadorczykach nadzieję na zmiany – popierał lewicowe ruchy na kontynencie, zadarł z wojskiem i mówił o nacjonalizacji przemysłu naftowego. Według Perkinsa on i inni economic gangsters po prostu nie zdołali go odwieść od tych planów i musiała wkroczyć CIA. Nic dziwnego, że gdy w niecały miesiąc po objęciu urzędu przez Correeę, także spadł śmigłowiec z panią minister obrony na pokładzie (wylatując z bazy w Manta) od razu zaczęto spekulować, że nie był to wypadek i że to nie ona była prawdziwym celem.

Correa co jakiś czas mówi, że kierowane są pod jego adresem pogróżki i trochę z butą a trochę zgodnie z prawdą, jaką potwierdziły chociażby ostatnie wyniki wyborów do zgromadzenia konstytucyjnego zapewnia, że mogą mu wpakować kulę, ale społeczeństwo i tak pozostanie zjednoczone. Właśnie takiej

jedności najbardziej potrzebuje Ekwador.

Autor: Maciej Wiśniewski

Źródło: [„La Monde diplomatique” nr 2 \(24\) 2008](#)